

# Kronika tygodniowa.

A więc przy uzupełniających wyborach w Niemczech zdobyliśmy sobie jeszcze jeden mandat na Górnym Śląsku — mamy ich razem 20, to jest więcej niż kiedykolwiek ich posiadaliśmy. A wszystko dzięki temu ludowi, który przed 50, a nawet przed 30 laty mieliśmy za całkiem stracony, a o którym przed 100 laty nie wiedzieliśmy prawie, że istnieje. Sprawdzają się słowa wieszczka:

Naród nasz jak lawa

Z wierzchu zimna i twarda, sucha i plugawa,  
Lecz wewnętrzny ogień sto lat nie wyziębi,  
Plwajmy na tę skorupę i zstąpmy do głębi.

Nie sto lat jednak, wielki wieszczu! — ale i 600 lat nie wyziębiło wewnętrzny ogień na Górnym Śląsku. Tem lepiej, tem zaszczytniej — tem większy nasz obowiązek „zstępować do głębi...”

Ale rzadko dobrych wieści nie zamąci przykra wieść. Na Mazurach pruskich spotkał nas zawód zupełny. W roku 1898. kandydat polski otrzymał wśród ludu mazurskiego 5 700 głosów, obecnie na kandydata polskiej partii mazurskiej, Gotlieba Labuscha padło głosów zaledwie 200. Przerażające cyfry! Skąd taka zmiana, jaka jej przyczyna? Bardzo prosta: ludowi temu przed wiekami narzucano religię ewangelicką. Przyjął ją i pozostał jej wierny. Uświadczenia narodowe nie posiadał, a zostawał pod wpływem pastorów, którzy go nezyli wierności dla „króla”. W ostatnich latach z wyższego rozkazu, ci „śludzy Boga” podwoili swoją gorliwość. Więc też portrety „króla” zdobiją każdą chatę na Mazurach, a nieufność do katolików powiększa rozdźwięk tej garści ludu polskiego z narodem. Nawet na Śląsku austriackim, mimo, że znajduje się w lepszych warunkach, widzimy, jak różnica religii szkodliwa jest ze stanowiska narodowego: katolicy i ewangelicy stanowią na nim dwie wrogie partie, walczące ze sobą na pożytek Niemców i Czechów. Coż dopiero mówić o biednych, zacofanych Mazurach, względem których Wielkopolska, jak sama się przyznaje, zachowała obojętność. Rząd pruski tymczasem nie śpi, wydaje swym kosztem „Przyjaciela Ludu” z tendencją antypolską. W przeddzień wyborów zamknięto narodowego „Mazurę”, wychodzącego w Szczecinie, a to z powodu, że lokal drukarni... był wilgotny. Zdawałoby się, że to bezprawie otworzy oczy — tymczasem pomogło ono jedynie rządowi. „Przyjaciel Ludu” rozrzucił w tysiącach egzemplarzy odezwę, w której wołał: „Mazur” jest przeciwny królowi pruskiemu i dlatego kazał go zamknąć”. To odebrało Labuschowi, popieranemu przez „Mazurę” trzy czwarte jego zwolenników.

Również niepomysłne wieści dochodzą z powiatów kaszubskich. Wprawdzie niektórzy nasi uczeni, jak p. Ramułt, poświęcili dużo trudu, aby dowiedzieć „pour le roi de Prusse”, że lud kaszubski nie jest polskim, ale on sam zawsze za polski się uważał. Niestety, postępy germanizacji na Kaszubach są wielkie. Komisja kolonizacyjna wykupiła prawie wszystkie większe polskie majątki. Tak np. w powiecie kościerzńskim niemiecka większa własność wynosi dziś 40 000 hektarów, kiedy polska zaledwie 5 000. W samym Kościerzynie, będącym jedynym już polskim miastem na Kaszubach, spółka niemiecka wykupuje polskie domy, a rząd ze swej strony udziela na 4% (w co już wliczona jest amortyzacja) pożyczek urzędnikom na budowę własnych domów. W ostatnich czasach Hakata nabyła dom, w którym znajdowała się jedyna w mieście sala na zebrania.

Konsekwentnie prowadzona germanizacja czyni znaczne postępy — więc też rząd pruski „urbi et orbi” ogłasza, że jego polityka w prowincjach wschodnich cieszy się powodzeniem. Liczby przytoczone w jego komunikacie, stwierdzają niestety, że to nie pusta przechwałka.

To powodzenie i pomysłny dla rządu ogólny rezultat ostatnich wyborów do parlamentu, upajają tak zwycięzców, że zaczynają tracić przytomność i bredzić. „Kto mi się sprzeciwia, tego zdruzgoczę” (den zerschmettere ich) — wyrzekł niegdyś Wilhelm II, a obecnie oświadczył, że „stratuje na śmierć kopytami wszystkich, co mu stają na drodze”. Jedni sądzą, że to się odnosi do socjalistów, centrum i Polaków — inni jednak wyczytują w tych słowach rękawicę rzuconą całej Europie. Tak czy owak jest to pyszałkowatość, jakiej w dzisiejszych czasach niema drugiego przykładu. A rezultaty jej mogą być bardzo niepożądane, bo o-

strzegają wszystkich przed niebezpieczeństwem wzrastającego olbrzymio apetytu rozzuchwalonej Germanii. To też nie małe znaczenie przypisują sfery dyplomatyczne do pobytu w Paryżu króla Anglii i cesarza Indyj. Ten największy dyplomata między monarchami (za takiego przynajmniej nchodzą), nie szuka popisów na polu oratorstwa, ale robi swoje. Nie należy lekceważyć faktu, że z jego pobytom w stolicy Francji zbiegło się głośne zamianowanie przez rząd francuski serdecznych stosunków z Rosją. Zapewne, że doznajemy niemiłego uczucia, czytając entuzjastyczne oświadczenia ministra Pichona, ale musimy w nich widzieć niejako odpowiedź na wolnomyślne słowa rzucone w Berlinie.

„Niemców potrzeba tylko wsadzić na siodło, a potem pojadą już sami” — dalsze słowa ewangelii berlińskiej. Ale widziano już najlepszych jeźdźców, którzy nie tylko z siodłem, ale i rumakiem się rozstali — chcieli traktować i traktowali, póki ich samych nie stratosowano. Właśnie w roku zeszłym była rocznica bitwy pod Jena, w której największy geniusz wojenny i największy mocarz w dziejach nowożytnych pokopał i stratosował na śmierć małego królika pruskiego, a w kilka lat później jego samego stratosowano pod Waterloo. Największa potęga wojenna, jaką świat widział od czasów rzymskich, rozpadła się, a z małych królików pruskich, holdowników niegdyś Rzeczypospolitej polskiej, powstał potężny cesarz niemiecki Fortuna kołem się toczy, a prawie zawsze upokarza wyuzdaną pychę. Widzieli ojcowie nasi i takiego mocarza, który według poety wołał:

Zgniotę, zniszczę zuchwalców i za jedną razą  
Ujmę świat. Drzyj Londynie, drzyj podły Pa-  
[ryż!]

Naród cały mym nogom zwycięskim podścielę,  
Rzucą się wszystkie ludy pod cesarskie stopy,  
A ja z tronu mego, jak Pan Bóg w kościele,  
Mieczem prawa przepiszę ludom Europy.

Tak wołał — i nie zadrżał Londyn, nie zadrżał Paryż, nie rzuciły się ludy pod cesarskie stopy, ale wprost przeciwnie jemu prawa mieczem przepisały. A czy my na własne oczy nie widzieliśmy klęski kolosu, który zdawał się być niezwyciężony?

Ale cesarz Wilhelm nie jest już sam, Niemcy nie są tak osamotnione, jak się zdaje niektórym politykom i dziennikarzom. I jemu i jego państwu przybył potężny sprzymierzeniec... w Związku narodu rosyjskiego. Ośławione to stronnictwo wysłało do cesarza Wilhelma telegram gratulujący z powodu wyborów. „W osobie waszej cesarskiej mości — tak kończy się wylew uczucia Związku — składamy narodowi niemieckiemu życzenia wszelkich pomyślności i szczerości na nowo otwierającej się drodze życia, wierząc święcie, że Niemcy i Rosjanie potrafią pomódz swoim monarchom przy rozstrzygnięciu wszelkich nieporozumień historycznych. Pozdrowienie i chwała cesarzowi Wilhelmowi, pozdrowienie narodowi, umięjącemu popierać swego monarchę, chwała młodzieży, która dowiodła, że jej miłość ojczyzny nie jest mniejsza, niż miłość nanki.”

Z pomocą „Związku ludzi rosyjskich” śmiało już może cesarz Wilhelm przystąpić do wykonania swego programu, to jest do stratosowania wszystkich swych wrogów. Taki sprzymierzeniec, to już połowa wygranej, boć Związek to „kwiat słowiańszczyzny”, a kto ma za sobą Germanów i Słowian, jakż sła takiemu oprzeć się zdoła? Prawda, że to sprzymierzeniec wielce kompromitujący, że niejeden pomyślałby sobie: „chroń mię Bóg od takich przyjaciół, a z nieprzyjaciółmi już sam sobie dam radę” — ale jak kto innych przyjaciół nie ma na świecie, dobry i taki. Na bezrybiu i rak ryba, a Związek to rzeczywiście rak, wstecznik „pierwszej wody”. A drugie przysłowie głosi: „dobra psu i mucha”.

Wątpić jednak należy, czy młodzież niemiecka ucieszy się z pochwały, udzielonej jej przez „istino-russkich”, choć, co prawda, na tę pochwałę z ich strony zupełnie zasłużyła. Ale co dziwne, to usprawiedliwienie tej młodzieży, wychodzące z pod pióra jednego z naczelników socjalizmu niemieckiego. Poseł Bernstein, zastanawiając się w „Sozialistische Monatshefte” nad przyczynami klęski socjalistów niemieckich, pisze między innymi, co następuje: „Do niedawna młodzież wszystkich stanów garnęła się do szeregów naszych. Ale na kongresach naszych występowało z ogromną nietolerancją wobec wszystkich zdań odmiennych. Następnie w prasie socjalistycznej prowadzono

polemiki, pełne podejrzeń i oszczerstw wzajemnych, nieróżniące się niczem od polemik prasy burżuazyjnej, którą się z tego powodu zwalczało. Obui-zało to wszystko powagę partyi i zrażało nie tylko młodzież, ale i starszych. Lecz dobrze się stało, że ponieśliśmy klęskę, bo to nas zmusi do wystrzegania się dotychczasowych błędów...”

Czy Bernstein odgadł prawdziwą przyczynę klęski socjalistów, to nam sprawdzić trudno — ale, że błąd przez niego wytknięty nie pomaga socjalizmowi, o tem i nasze stosunki wyraźnie świadczą. Niema ani jednego stronnictwa, choć najbardziej sympatyzującego ze socjalizmem, którego by nie odrzucono z szyderstwem, którego by ludzi nie traktowano jako wrogów ludu i wolności, lub jako błaznów i karyerowiczów. A polemiki między sobą doprowadziły niedawno do procesu, który z pewnością nie przyczynił się do wzrostu partyi. W Warszawie widzimy to samo — na zgromadzeniach demokratów postępowych, którzy byli prawie pacholkami socjalistów, wypowiedziano otwarcie że socjaliści mają dla tego stronnictwa tylko pogardę. Co prawda, w naszych warunkach na taką otwartość mogą sobie socjaliści pozwolić, bo ich sympatycy, zwłaszcza galicyjscy, liczą zawsze, że bądź co bądź przy wyborach głosy socjalistyczne padną na ich kandydatów. Więc też ścierają ślinę ze swego oblicza, mówią, że „deszcz pada” i wyciągają wciąż odpychane dłonie..

Jak widzą Czytelnicy, cała dzisiejsza kronika poświęcona jest polityce. Bo rzeczywiście ostatnie tygodnie nie dostarczyły innego, prócz politycznego, materiału. Wprawdzie dzienniki przepełnione są opisami balów, ale kronikarz wobec tego „objawu życia” czuje całą nieudolność swego pióra; w tej sferze jest najzupełniejszym ignorantem. Podziwia tylko, że przy ogólnej „straszej biedzie”, wobec upadku wielu najdroższych nadziei, wobec smutnego stanu w dwu naszych dzielnicach, a niebardzo wesołej perspektywy i na galicyjskim padole płaczu, karnawał tegoroczny był tak huczny, jak nigdy za „najlepszych” czasów. Nie było prawie tak drzemającej instytucji, tak drzemającej sfery, któraby się nie zdobyła na czyn... taneczny. Niektóre instytucje straciły całkiem swój charakter i zamieniły się w wielkie przedsiębiorstwo taneczne. Czasem zdawało się, że jakiejś instytucji lub sfery już niema na świecie, że jej głowę odcięto, a tymczasem okazało się, że ma ona nogi i to nogi wytrzymałe, niepokonane, zdolne do największych poświęceń. Ha! i za to należy dziękować Opatrzności, bo jeżeli jedna część ciała okazała taką sprawność, biegłość, taką zdolność do czynu, to spodziewać się należy, że przyjdzie z czasem kolej i na tę resztę cielesnej powłoki, która, między innymi, mieści w sobie i głowę i serce.



## Od Wydawnictwa.

Naszym Szanownym Inserterom mamy zaszczyt niniejszem donieść:

Z d. 21 stycznia b. r. objęliśmy wydzierżawiony dotąd dział ogłoszeń we własny zarząd i będziemy go nadal sami prowadzili.